

NIE DAĆ SIĘ ZABIĆ

Czesław Arkuszyński urodził się (w 1924 r.) i wychował w Tomaszowie Mazowieckim. Podczas drugiej wojny światowej początkowo był świadkiem zagłady Żydów w tomaszowskim getcie i pierwszych aresztowań Polaków. W lipcu 1943 r. jako dziewiętnastolatek sam został aresztowany i brutalnie przesłuchiwany przez hitlerowską policję polityczną. Nikogo nie wydał. Przeżył obozy koncentracyjne w Oświęcimiu, Oranienburgu i Buchenwaldzie. W maju 1945 r. wrócił do Polski. Swoją nieopublikowaną jeszcze biografię zatytułowaną *Nie dać się zabić* napisał dla rodziny, przede wszystkim dla wnuków. Prezentujemy jej fragmenty.

„[...] W miarę rozbudowy obozu wielu więźniów z pierwszego lub pierwszych transportów, po przeżyciu ciężkiego »rekruckiego« okresu, dostało się na rozmaite funkcje. Od ich morale, od wychowania, od wiary w Boga, od własnego sumienia zależało, jak te funkcje spełniali. Jedni naśladowali swoich wychowawców z zielonymi trójkątami (bandytów, złodziei i recydywistów), inni potrafili wypełniać powierzone im funkcje w wewnętrznej administracji obozowej z osobistą godnością. Z godnością moralnego człowieka.

Z moich obserwacji życia obozowego wyniosłem również przeświadczenie, że niektórzy więźniowie, którzy w początkach obozu zachowywali się na funkcjach nagannie, zdolali w późniejszym okresie zrewidować swoje postępowanie i starali się jak gdyby nadrobić utracone do nich w społeczeństwie obozowej zaufanie. Często wznosili się na wyżyny w niesieniu pomocy innym więźniom.

Ale byli i tacy, którzy wiedli prominentny styl życia w obozie dzięki swojej dużej wiedzy (na przykład znajomości kilku języków, wysokiej specjalizacji medycznej itp.). Inni zawdzięczali swój niezły status osobistemu sprytowi, umiejętności pozyskiwania przyjaciół, wesołemu usposobieniu, osobistej kulturze – słowem – przymiotom ludzkim ogólnie akceptowanym. Ci ostatni to – można powiedzieć – »więźniowie środka«. Nigdy nie pchali się na najwyższe obozowe funkcje. Byli zadowoleni z pozycji, która pozwalała utrzymać się przy życiu, zdobyć dodatkową miskę zupy czy porcję lub dwie chleba i margaryny. Nie dawali się zepchnąć na dno. Zawsze znajdowali pracę lekką, a zimą koniecznie pod dachem. Po apelu zawsze mieli cokolwiek do sprzedania i coś do kupienia na nieoficjalnej giełdzie pod obozową kuchnią. Chciałoby się powiedzieć, że nie byli »muzułmanami¹, ale też nie byli obozowymi prominentami w ścisłym znaczeniu tego słowa. Byli »więźniami środka«. [...] Zatem więźniowie, którzy podeszli teraz do liny, by szukać swoich krewnych lub przyjaciół w naszym transporcie, nie byli »muzułmanami«.

W pewnym momencie któryś z przybyłych więźniów krzyknął:

– Kto tu jest z Tomaszowa?!

Las rąk podniósł się do góry. W tej masie wołających nie mógł nikogo rozpoznać.

Natomiast ja rozpoznałem wołającego. Nie byłem pewien, czy się nie mylę. Podszedłem bliżej. Nie, nie myliłem się.

– Czy pan nazywa się Kujda i mieszkał pan w Tomaszowie na rogu Słonecznej i Stolarskiej? – zapytałem.

– Tak! – odpowiedział. – Ale mów mi per „ty”. Tu nie ma panów. Wszyscy jesteśmy jednacy.

Roman Eugeniusz Kujda, po prostu Roman, był starszy ode mnie o 8–10 lat. Był synem znanego w Tomaszowie krawca-kuśnierza. Tutaj był numerem 62742.

Gdy przybyłem do obozu, nie miałem jeszcze dziewiętnastu lat. Pamiętałem go świetnie z przystani Tomaszowskiego Towarzystwa Wioślarskiego, kiedy jako chłopiec przyglądałem się przed wojną meczom siatkówki, rozgrywanym właśnie na tamtejszej przystani. Jednym z graczy był Roman. Różnica wieku usztywniała mnie.

– A ty jak się nazywasz? – zapytał.

Kiedy powiedziałem mu moje nazwisko, od razu wiedział, że mieszkałem kiedyś przy ul. Słonecznej 9. Wiedział, że mam brata, i znał naszych rodziców.

– Proszę pana... przepraszam – wybąkałem – czy jest możliwe utrzymanie się przy życiu w tym obozie? Od jak dawna pan się tutaj znajduje?

Nie mogłem zrozumieć, jak można tak dobrze wyglądać w Oświęcimiu. Stąd moje pytanie o okres uwięzienia.

– Jestem tu od roku. Jak widzisz, żyję i radzę sobie. Nie pchaj się nigdy na ochotnika, chociażby wywoływali ochotników do najlepszej pracy. Maszeruj zawsze w środku kolumny, to najmniej oberwiesz. Oczy masz mieć otwarte dookoła głowy.

O tym, jak cenne były to wskazówki dla »Zuganga« (nowicjusza obozowego), mogłem się wielokrotnie przekonać w czasie pobytu w obozach koncentracyjnych.

Poprosiłem Romana o trochę wody.

Przeprosił, że się zagadał, i zaraz gdzieś pobiegł. Wkrótce wrócił, przyniósł miskę ciepłych ziółek i pół bochenka obozowego chleba oraz spory kawałek margaryny. Zapomnieliśmy o głodzie, ale pić się chciało ogromnie. Wypiliśmy z Dzidkiem ziółka i zjedliśmy trochę chleba z margaryną. Widzieliśmy, z jaką zazdrością spoglądali na naszą znajomość pozostali więźniowie z naszego transportu.

Roman poinformował nas, że jest zakwaterowany na 25 bloku.

– Jeżeli nie przerzucą was do Birkenau (obóz w Brzezince, tak zwany Auschwitz II), to łatwo mnie tam znajdziecie. Gdy będziecie czegoś potrzebowali, szukajcie mnie!

Krzyknął do nas te słowa, oddalając się jednocześnie szybko, gdyż spostrzegł nadchodzących esesmanów.

To spotkanie bardzo podniosło mnie na duchu. **Odwagi!** [...]

Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Wyselekcjonowaną dwunastkę zaprowadzono na blok 19 – na *Schonungsblock* HKB (blok dla ozdrowieńców w obozowym szpitalu), aby tutaj leczyli urazy, jakich doznali podczas śledztwa na gestapo. Musiałem być dobrze poharatany na plecach, skoro zaliczono mnie do najdotkliwiej pobitych spośród tych kilkunastu setek nowo przybyłych więźniów. [...]

A więc skierowany zostałem przez obozowy personel medyczny do szpitala obozowego na blok 19, jako *Häftling* nr 131603, na leczenie urazów na tylnej części całego mojego ciała. Urazy te mogłem obejrzeć własnymi oczami tylko na ich obrzeżach. Najbardziej martwiła mnie fioletowa od krwiaków i silnie opuchnięta moszna, jak również spuchnięte jądra. Obolące i opuchnięte od bicia pejcem stopy utrudniały normalne chodzenie. [...]

Roman często mnie odwiedzał. Nie miał prawa wstępu na teren szpitala, ale wywoływał mnie prawie codziennie do okna i celnym rzutem dostarczał mi jabłko lub cebulę, a nawet

czasem kawałek kielbasy, które to smakołyki Bóg jeden wie gdzie organizował. Z czasem powiadomił innych tomaszowian o mojej obecności w szpitalu, w wyniku czego poznałem nowych rodaków – oświęcimskich obozowiczów, którzy także przychodzili pod blok 19 nie z gołymi rękami. Wśród nich byli Gienek Piaskowski, Janek Sęk, Janek Chybowski i Lolek Czekalski.

Czułem się wręcz rozpieszczany. Najważniejsza jednak była budząca się we mnie świadomość solidarności więźniów wywodzących się z tych samych miejscowości. A może nie tylko? [...]

W końcu sierpnia rozeszła się w więźniarskim szpitalu wiadomość o mającej nastąpić nazajutrz kolejnej selekcji do gazu. Chciałem koniecznie opuścić szpital i wydostać się na lager do pracy. Nie mogłem drugi raz ryzykować. Było jednak już późne popołudnie i nie mogłem być tego dnia wypisany. Wypisów ze szpitala dokonywano zawsze przed południem dnia poprzedzającego opuszczenie szpitala. Nie miałem szansy.

W pewnej chwili przypomniałem sobie deklarację Romana, że jeżeli będę czegoś potrzebował, to mam go o tym zawiadomić. Zszedłem więc na parter bloku i przez *Pförtnera* (portiera) przywołałem do siebie Romana. Przedstawiłem mu problem. Zasepił się, bo znał procedurę wypisywania ze szpitala i wiedział, że listy zwolnień są już sporządzone i dopisanie do nich kogokolwiek nie będzie łatwe. Wykorzystał jednak swoje kontakty z różnymi funkcyjnymi więźniami i wieczorem poinformował mnie, że prawdopodobnie nazajutrz opuścić szpital.

Rzeczywiście. 27 sierpnia *Arbeitsdienst*² wyczytał mój numer i zostałem przeniesiony ze szpitala na blok nr 23 z karteczką w ręku określającą przydział pracy: *Kommando SS-Unterkunft*³. [...] Stosownie do polecenia *Arbeitsdiensta* zameldowałem się do blokowego szrajbera bloku 23 i wręczyłem mu kartkę z przydziałem komanda roboczego [...]

– Słuchaj, ja ci zmienię komando. W *SS-Unterkunft* jest wprawdzie lekka praca, ale tam nie ma co jeść. A ty musisz się odżywić. Pójdziesz do komanda *SS-Kartoffelschälerei*⁴ [...]

Staszek Kożuch, bo tak nazywał się ten *Blockschreiber*, dał mi spory kawał chleba, porcję margaryny i kawałek kielbasy oraz kubek obozowych ziótek.

Wkrótce nadeszła pora obiadu i znów dostałem miskę gorącej zupy brukwiowej z porcją dolewki, z której z przejedzenia nie mogłem już skorzystać. [...] Miałem pół dnia przed sobą i nie bardzo wiedziałem, co z sobą robić. Położyć się nie mogłem, bo w dzień było to zakazane, a zlecenia żadnej pracy nie dostałem. Ponieważ Staszek Kożuch wydał mi się jakiś przystępniejszy od sztabowego, odnalazłem go i zapytałem, czy mogę wyjść z bloku na lager odwiedzić kolegę. Zezwolił, ale przedtem spojrzął na moje parciandrewniane obuwie i wymienił mi je na mocno zniszczone pantofle, jako tako pasujące na moje stopy. Przy okazji pouczył mnie, że o tej porze nie wolno po obozie spacerować. Mam zatem maszerować bardzo szybko, co miało sprawiać wrażenie, że wykonuję jakieś polecenie funkcyjnych. Zapytany, powiedziałem, że udaję się na 25 blok do mojego krajana z Tomaszowa.

Wszedłem do czystutkiego korytarza 25 bloku. W bloku tym mieszkała obozowa śmietanka, wybrane komanda: obozowa orkiestra, kuchnia, magazyn spożywczy, *Brotabladerkommando*⁵, główna szrajbsztuba⁶, *Arbeitsdienst*, *Lagerkapo*⁷, *Lagerdolmetscher*⁸ i Bóg wie jacy jeszcze prominenci.

Pierwszego napotkanego więźnia poprosiłem o przywołanie Romana. Przywołał go głośnym krzyknięciem: Rooman! W tej samej niemal chwili ujrzałem Romka wychodzącego z jakiejś sztaby.

– A, to ty. Dobrze, że przyszedłeś. Jakie dostałeś komando?

Podziękowałem mu za wyciągnięcie mnie ze szpitala obozowego i opowiedziałem o zamianie mojego przydziału pracy przez blokowego szrajbera. Był zadowolony z takiego obrotu sprawy.

– Widzisz, od początku zaczyna ci się dobrze powodzić. Tam się odżywisz, a jeszcze zorganizujesz cokolwiek do obozu. Tylko nie szarżuj! Bądź zawsze ostrożny i przytomny. Zanim coś zrobisz, zastanów się dobrze, co może z tego wyniknąć. Na razie nie spiesz się. Szukaj w komandzie przyjaciół. Za kilka dni sam się zorientujesz, co jest możliwe, a w co nie należy się pchać.

Roman uczył mnie obozowego elementarza. Ostrzegał i pouczał. Doradzał, a także zakazywał. Wierzyłem mu bezgranicznie. Był moją obozową ostoją od pierwszego do ostatniego dnia mojego pobytu w Oświęcimiu. A także i potem. Miał za sobą rok obozowego doświadczenia, co w tamtych warunkach było wiekiem.

Na 25 bloku był szajsmajstrem, czyli kiblowym. Odpowiadał także za czystość *Waschraum*⁹, schodów, korytarzy i obejścia przed blokiem. Ta „posada” bardzo mu odpowiadała. W bloku mieszkali prominentni więźniowie – ci, którzy pracowali przy żywności, a także ci najbardziej wpływowi z tytułu pełnionych funkcji.

Zorganizowanie bochenka chleba czy kostki (0,5 kg) margaryny nie było dla niego problemem. To on przecież mógł załatwić moje niezwłoczne wypisanie ze szpitala, gdy zaszła tego nagła potrzeba. A także spowodował skierowanie mnie na dobry blok z przydziałem pracy pod dachem. [...]

Nikt z naszego komanda nie wyglądał na wygłodzonego, co potwierdzał fakt oddania mużłtanom beczki obozowej zupy. Poznałem więźnia zajmującego łóżko obok mnie. Nazywał się Władysław Glapa. Miał numer 26 tysięcy z końcówką. Pochodził z Warszawy. Kiedy powiedziałem mu jak się nazywam i skąd pochodzę oświadczył, że znał moich rodziców.[...]

Nasze komando wychodziło do pracy jako pierwsze w obozie, już o trzeciej nad ranem, albowiem na szóstą musiało być przygotowane śniadanie dla wszystkich esesmanów nadzorujących obóz.

W kartoflarni SS byliśmy podzieleni na małe grupy, według przydzielanych nam zadań. Trzymałem się blisko Glapy, żeby nie popełnić jakiegoś głupstwa. Siedzieliśmy na stołkach i obieraliśmy raz kartofle, kiedy indziej buraki, marchew lub kalarepę, a nawet jabłka. Oczywiście, po kryjomu jedliśmy niektóre warzywa i jabłka.

Naszą pracę nadzorował *Vorarbeiter* Jan K. Miał nazwisko stosowne do miejsca pracy i kapuścianego fłba, jaki nosił na szyi. Był kompletnym idiotą. W czasie gdy wykonywaliśmy normę, skrobiąc nakazaną ilość warzyw do puszek po konserwach, on polewał bez przerwy wężem posadzkę, aby była zawsze czysta, i co chwilę oblewał prysznicem któregoś z więźniów. Sprawiało mu to dziką radość, gdyż śmiał się jak błązen. [...]

*Unterscharfführer*¹⁰ Paschke, pomimo że był niski, odznaczał się atletyczną budową i miał bardzo ciężką rękę. Jednym uderzeniem dłoni ścinał każdego więźnia z nóg. Ale Paschke, jako szef kuchni, przychodził do pracy dopiero około szóstej. Zanim się tu pojawił, jego pomocnicy wydawali kucharzom podstawowe artykuły, potrzebne do przygotowania śniadania, a także mięso, margarynę, fasolę, kaszę i przygotowane poprzedniego dnia przez kartoflarnię warzywa – do gotowania obiadu. Była to jedyna korzystna pora, aby zorganizować w kuchni SS bezcenne artykuły spożywcze i później w umiejętny sposób przeszmyglować je do obozu.

Ja się oczywiście w pierwszych dniach nie angażowałem w tego rodzaju organizację i spokojnie obierałem warzywa, wkładając do ust od czasu do czasu kawałek marchwi, kalarepy czy jabłka. A i to musiałem się dobrze rozejrzeć, aby nie zauważył mnie Paschke, często obserwujący z daleka pracujących więźniów.

Około południa kucharze przekazywali ukradkiem do kartoflarni beczkę ciepłej esesmańskiej zupy. Rozdelał ją Janek, podczas gdy kapo obserwował, gdzie jest i co w tym czasie robi Paschke. Nie wszyscy naraz zajmowali się jedzeniem. Janek nalewał po pięć litrowych puszek po konserwach i przekazywał zupę w różne rejony kartoflarni. Naszym zadaniem było zjedzenie jej tak szybko, jak tylko to było możliwe. Niekiedy tej zupy było tak dużo, że kto chciał, dostawał drugą porcję.

A co to była za zupa! W każdym litrze było około 60–80 g pokrojonego w kostkę mięsa, fasola, ziemniaki lub makaron, warzywa i przyprawy – słowem, w domu przed aresztowaniem takich delikatesów nie jadłem. Łyżka w niej stała pionowo! Nic więc dziwnego, że kucharze i pracownicy kartoflarni rezygnowali wieczorem z zimnej, rozgotowanej bydłęcej brukwi, jaka na nich czekała na bloku. Byłem bardzo wdzięczny Staszce Kozuchowi, że mnie skierował do tego komanda, abym się odżywił. Wiedział, co robi.

Z czasem obrastałem w piórka. Wiedziałem, że co odważniejsi koledzy organizowali i przemycali żywność z kuchni SS do obozu. Wiedziałem, że i ja muszę zaryzykować. Chciałem koniecznie zaimponować Staszce Kozuchowi i przynieść mu któregoś dnia jakiś zorganizowany kęsek. Ryzyko było duże, gdyż komanda pracujące w warunkach ułatwiających organizację były często przy powrocie do obozu poddawane szczegółowej rewizji. Do tej grupy komand należało też nasze.

Muszę tu wyjaśnić, co w języku obozowym nazywaliśmy organizowaniem. Otóż jeżeli któryś z więźniów zdołał zdobyć cokolwiek więcej, niż mu się to oficjalnie należało, a nie było to w żaden sposób połączone z pomniejszaniem porcji dla innych więźniów, to taką zdobycz nazywaliśmy organizowaniem. Natomiast jeżeli ktoś przywłaszczył sobie cudzą własność, na przykład zabrał koledze z paczki cebulę lub porcję margaryny – była to zwykła kradzież i spotykała się z najwyższym potępieniem obozowej społeczności, do linczu włącznie. Myślę, że słowo »organizacja« jest tu właściwe, gdyż zdobycie łupów musiało być dobrze przemyślane i zorganizowane, a także wymagało często działania zorganizowanego w gronie kilku więźniów, nie zawsze z tego samego komanda. W szczególności gdy zachodziła potrzeba przerzucenia zdobyczy na teren obozu.

Po raz pierwszy udało mi się zwędzić z kuchni spory kawałek esesmańskiej kiełbasy. Przedtem jednak upatrzyłem miejsce przechowania zdobyczy do czasu formowania komanda do odejścia do obozu. Miejszem tym był żeliwny zbiornik na wodę zawieszony pod sufitem w toalecie. Przy następnych okazjach również korzystałem z tego schowka.

Tym razem tuż przed odejściem z kuchni wyciągnąłem ze zbiornika moją kiełbasę i włożyłem ją pod koszulę, ale za pasek od spodni. Zdarzało się także, że Paschke zarządził rewizję, kiedy komando uformowało się przy kuchni. Rewizję przeprowadzał osobiście, a pomagali mu w tym esesmani z eskorty. Tego się najbardziej bałem. Ale tego dnia rewizji nie było. Należało mieć jeszcze szczęście przy głównej bramie, by sukces był pełny. Był! I tutaj nie było rewizji.

Byłem z siebie ogromnie zadowolony. Nareszcie zakozaczyłem!

Poszedłem wieczorem do Staszka i dałem mu połowę zorganizowanej kiełbasy. Był trochę zdziwiony, że tak szybko zacząłem organizować, ale z chęcią przyjął podarunek. Drugą



Oświęcim po wyzwoleniu, 1945 r. (zdjęcie archiwalne)

połówkę zamierzałem zanieść Romanowi, głównie żeby się pochwalić moim wyczynem, ale niestety apel tego dnia znacznie się przedłużył i wiedziałem, że przed gongiem na *Nachtruhe*¹¹ mogę nie zdążyć wrócić na swój blok. W tej sytuacji zrobiliśmy sobie z Glapą uroczystą kolację. Nie miało sensu pozostawianie esesmańskiej kiełbasy na drugi dzień, bo »towar był trefny«.

Myślałem przez jakiś czas, co zrobić, aby nie wpaść podczas rewizji. Bo wszak nie codziennie, ale często udawało mi się zorganizować; a to kawałek kiełbasy lub mięsa, a to kostkę margaryny lub niekiedy sporo cukru.

Myślałem i wymyśliłem patent. Otóż »trefny towar« pakowałem do płóciennego woreczka, który wiązałem na długim sznurku z przodu i z tyłu paska od spodni. Byłem przygotowany, że w razie rewizji ochoczo i bez rozkazu opuszczę spodnie na kostki nóg wraz z moją zdobyczą i pozwolę się obmacać po gaciach. Na cukier miałem zawsze przy sobie przygotowaną jakąś długą skarpetę, którą po napełnieniu przewiązywałem jak pęta serdelków poprzecznie sznurkiem i w »opatentowany« sposób przenosiłem na kroczu do obozu.

Żyłem znacznie powyżej średniej.

Na giełdzie przed kuchnią kupiłem sobie dwie porządne koszule, pulower, a także rzecz najważniejszą – solidne wojskowe, saperskie buty. Były bardzo ważne, gdyż posadzka w kartoflarni była zawsze pełna wody rozlewanej przez ogłupiałego Janka. Miałem też porządną rękawicę i pachnące mydło, przemycane na nasz obóz z komanda »Kanada«.¹²

Wiele przedmiotów pochodzących z »Kanady« było przedmiotem handlu na obozowej giełdzie. Handel kwitł zawsze bezpośrednio po apelu. Pomiedzy apelem a ciszą nocną wolno było więźniom spacerować po obozowych alejkach. Wykorzystywaliśmy ten czas na odwiedzanie kolegów na innych blokach, a także na handel, czym się dało, na obozowej giełdzie. Na giełdzie należało obserwować więźniów. Jeżeli któryś dwa lub trzy razy wracał tą samą drogą na krótkich odcinkach, znaczyło, że ma coś przy sobie do przehandlowania. Miernikiem wartości była w zasadzie margaryna. Coś mogło kosztować porcję margaryny, dwie, pół kostki, kość, dwie lub trzy kości albo cały karton, czyli 16 kości (8 kg!). [...]



Któregoś dnia była wielka wsypa w brygadzie kilkunastu kelnerów, należących do naszego komanda. Chłopaki utrzymywali kontakty z pięknymi dziewczętami – Żydówkami ze Słowacji, które na łańce, obok kuchni, rozwieszały na sznurach esesmańską bieliznę po praniu. Trzeba bowiem wiedzieć, że *SS-Unterkunft* znajdował się niedaleko od kuchni SS i tam prawdopodobnie prana była bielizna esesmanów. Chłopaki zaopatrywali dziewczyny w żywność zorganizowaną w kuchni, one obdarzały ich uśmiechem, a niekiedy całusem, jeśli była ku temu bezpieczna okazja. Co odważniejsi kochali się z dziewczynami pod sceną, która znajdowała się na końcu długiej sali jadalnej dla esesmanów.

Do kartoflarni wpadł wściekły szef kuchni Paschke.

– *Wer spricht hier deutsch?!³* – krzyknął.

Nie wiedziałem, co zaszło, że Paschke szuka chłopaków znających niemiecki. Pamiętałem przestrogę Romana, aby nigdy nie zgłaszać się na ochotnika. Ale siedzący obok Glapa niemal wypchnął mnie do przodu.

– Zgłaszaj się, Czesiek, natychmiast! – rzekł niemal rozkazującym tonem.

Wyskoczyłem ze stołka, stanąłem przed Paschkem prosto jak świeca i zameldowałem jednym tchem: *Häftling hunderteinunddreissigsechshundertdrei meldet gehorsam: Ich spreche deutsch⁴*.

Wybrał nas dziesięciu, bo tylu się zgłosiło. Potrzebował dwunastu, gdyż chciał wymienić całą brygadę kelnerską. Był zmuszony pozostawić dwóch naszych poprzedników na swoim miejscu.

W taki to sposób zmieniłem miejsce pracy w obrębie tego samego komanda i awansowałem ze skrobacza ziemniaków na kelnera obsługującego załogę SS największego obozu koncentracyjnego w Europie – *Konzentrationslager Auschwitz*.

Ja należałem do tych szaraków, z cienia, ale nie marginesu obozowego życia. Mój relatywnie wysoki numer obozowy (takich jak ja starzy więźniowie nazywali z pogardą »milionowcami«), a także młody wiek ustawiał mnie najczęściej w cieniu wielkich obozowych wydarzeń, ale w ich bezpośredniej bliskości, pozwalającej mi dobrze obserwować to, co działo się wokół. [...]

Zaledwie dwa dni pracowałem na dużej, ogólnej sali, gdzie szeregowi esesmani zjadali swój przydziałowy *Eintopf*. Sami stali w kolejce do okienka, gdzie nasi koledzy wydawali

im obiad, po czym naszym zadaniem było zbieranie brudnych porcelanowych misek ze stołów i odnoszenie ich do *Spülküche* (zmywalni). Po dwóch dniach awansowałem powtórnie. Paschke przeniósł mnie na *Führerheim*, gdzie obsługiwałem już, na znacznie mniejszej i ładniejszej sali, oficerów SS, a także uprawnionych do korzystania z tej sali członków *Politische Abteilung*. Docenił moją niezłą znajomość języka niemieckiego.

O ile szeregowi esesmani »płacili« za *Eintopf* bonem, wycinanym z miesięcznego karntu, o tyle »*Herrenvolk*« z *Führerheim* mógł płacić bonami lub prawdziwymi niemieckimi markami. Za marki goście *Führerheim* mogli kupować również w kantine piwo, wódkę, papierosy, czekoladę, a także różne produkty garmazeryjne i dania kuchni gorącej à la carte. Inna była natomiast technika obsługi gości uprzywilejowanych. *Vorarbeiterem* kelnerów był Stanisław Witek, inteligentny chłopak o niskim numerze obozowym. Należał do czwórki więźniów pracujących w *Führerheim*.

Aneksem do tej sali była kantyna SS, oddzielona od sali długim, w kształcie leżącego prostokąta, oknem do wydawania zamówionych produktów.

Czterech kelnerów stało na baczność pod ścianą w rejonie drzwi wejściowych. Ze względu na to, że każdy z nas unikał obsługiwania oprawców z *Politische Abteilung*, *Vorarbeiter* Witek zarządził wybór losowy. Wchodzących gości miał witać pierwszy z brzegu kelner, bez względu na to, kim byli, i obsługiwać ich do końca pobytu w kasynie.

Od gości odbieraliśmy płaszcze, jeżeli w nich przychodzili, wieszaliśmy je na wieszaku, a następnie meldowaliśmy naszą gotowość do obsługi. W drodze do wieszaka opróżnialiśmy kieszenie płaszczy panów oficerów z ewentualnego bilonu, który był nam bardzo potrzebny. Takiej operacji nie ryzykowaliśmy nigdy, gdy właścicielem płaszcza był esesman z politycznego oddziału. [...]

Pomimo zastrzonego rygoru w obozie, nikt nie rezygnował z organizowania prowiantów, do której to czynności już przywykliśmy. Ja nawet moją organizację znów udoskonaliłem. Otóż na bloku 3 zakwaterowane było komando fryzjerów SS. W komandzie tym pracowało dwóch fachowców z Tomaszowa, mianowicie Leon (Lolek) Czekalski, aresztowany w Warszawie i przywieziony do obozu pierwszym warszawskim transportem, oraz nieco starszy od niego wiekiem, a młodszy obozowym stażem Bogdan Chęciński, nr 12 tysięcy z końcówką. Podoficer SS kierujący zakładem fryzjerskim dla esesmanów, szef moich kolegów, był za leniwy, aby przychodzić do kuchni SS na obiad. Wysyłał natomiast codziennie po ten obiad z menażką Lolka. Lolek brał zawsze ze sobą zwój brudnej bielizny fryzjerskiej, niby do pralni. Ustaliłem z Lolkiem miejsce pod sceną, wśród rozmaitych rupieci-rekwizytów teatralnych, w którym, jeśli nie będzie przeszkód, pozostawię poranną zdobycz, a jego zadaniem będzie przetransportowanie organizacji do obozu.

Niewłócznie po przyjściu do pracy nurkowałem do wysokiej skrzyni z cukrem i zagarniałem wiaderko po marmoladzie (około 8 litrów) cukru, który melinowałem pod sceną. Czasami było to kilka kostek margaryny. Połowę zdobyczy odbierałem od Lolka w obozie. Spod sceny wynosił towar w woreczku, zawiniętym w bieliznę fryzjerską, a do obozu przewoził wózkami na pneumatycznych kołach wraz z bielizną do prania. Towar znajdował się w kołach za kołpakami.

Warto tutaj dodać, że Lolek, jako wieloletni więzień obozu i z racji wykonywanego w obozie zawodu, znał niemal wszystkich esesmanów. A na pewno obozową »szarżę«. Dlatego też powołano go po wojnie na świadka w procesie załogi SS z KL Auschwitz do Frankfurtu nad Menem. Urządził tam wesole widowisko, gdyż rozpoznawał sądzonych od tyłu, dotykając jedynie ich głów.

W tym okresie byłem w obozie »milionowcem« – milionerem. Nosilem jedwabne koszulki, a saperki zamieniłem na eleganckie pantofle. [...]"

[Za wymuszone przyjęcie napiwku od pijanego oficera Lachmanna autor został przedstawiony do raportu karnego].

„[...] Staszek-Kapo znał moje „starcie” z Lachmannem; miał też polecenie przedstawienia mnie do karnego raportu. Pogadał ze Staszkiem Kozuchem, a ten odprowadził mnie po apelu do ambulatorium w Krankenbau na 28 blok. Chorem kar chłosty nie wymierzano. Polski lekarz zdecydował o pozostawieniu mnie w szpitalu. [...]

W godzinach popołudniowych sanitariusz zaprowadził mnie na blok 20 (zakaźnie chorych) i tam ulokowano mnie na sztabie nr 2 na środkowym łóżku pod ścianą, po prawej stronie sali.[...]”

[W szpitalu Czesław Arkuszyński zachorował na tyfus.]

„Pod koniec grudnia byłem już w niezłej kondycji, ale nikt mnie ze szpitala na lager nie wyganiał, a mnie – więźniowi niewiele potrzebującemu do szczęścia, było wtedy w szpitalu dobrze. Wszak nadchodziła zima, której każdy pracujący na powietrzu bardzo się obawiał. [...] Bardzo mi pomagało to moje usposobienie. Wiara, że można ten obóz naprawdę przeżyć, aby się tylko nie załamywać, nawet w najbardziej dramatycznych chwilach. [...] Przy okazji wyjaśnię, że mimo ewidentnego tyfusu, na mojej prawdziwej karcie choroby doktor Fejkiel kazał napisać diagnozę: *Beobachtung* (Obserwacja). Chodziło chyba o to, aby medyczna służba SS nie wyleczyła mnie przedwcześnie za pomocą szpili z fenolem, aplikowanej bezpośrednio w serce. [...]

Obawiałem się, że wkrótce zostanę wypisany na lager i dostanę się Bóg wie do jakiego komanda. Każdy bał się pracy zimą pod gołym niebem. Nie mieliśmy przecież swetrów ani ciepłej bielizny. Samo stanie, niekiedy przez kilka godzin, na codziennych wieczorowych apelach narażało więźniów na odmrożenia, a niekiedy także na zapalenie płuc.

Nic więc dziwnego, że z ogromną radością przyjąłem od Janusza Młynarskiego wiadomość, że w styczniu będzie zorganizowany kurs dla sanitariuszy, a on porozmawia z doktorem Fejkiem, aby mnie na ten kurs zapisać. [...]

Uczyłem się starannie, gdyż chciałem ten kurs ukończyć pomyślnie, a zapowiedziano końcowe sprawdzenie wiadomości. Od dobrych wyników zależała moja oświęcimska przyszłość. [...]

Pod koniec lutego 1944 r. zostałem przydzielony do pracy na oddziale chirurgicznym, to jest na 21 blok. Zameldowałem się u blokowego, którym był w tym czasie Stanisław Oszacki (25474) – człowiek niezwykle pogodny i spokojny. Był synem profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, aresztowanego w listopadzie 1939 r. podstępnie na polecenie gubernatora Franka w grupie 40 polskich naukowców i osadzonego w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu koło Berlina.

Blokowy przydzielił mnie na pierwsze piętro do współpracy ze starym niemieckim komunistą Franzem, który za udział w wojnie domowej w Hiszpanii w 1936 r. po stronie komunistów odsadywał swoje dożycie w obozach koncentracyjnych. Franz cieszył się autorytetem u pozostałych *Pflegerów*¹⁵, chociażby z tytułu wieloletniego pobytu w obozach, ale także za spore umiejętności i wesołe usposobienie. [...]

[Zadaniem sanitariuszy było przygotowanie segmentu sali szpitalnej na przyjęcie Żydów z węgierskiego getta, którzy wymagali zabiegów chirurgicznych.]

„Blokowy i lekarze wymagali od nas domycia tych Żydów i doprowadzenia ich korpusów do ludzkiego wyglądu. Było to bardzo trudne zadanie. Od jego wykonania, a także od pomalowania łózek świeżą białą farbą, zależało przeniesienie mnie do innej, lżejszej pracy.

Wyprowadzaliśmy zatem z Franzem po trzech Żydów do *Waschraumu* i tam za pomocą ryżowych szczotek myliśmy ich głowy z brudu i wszawicy. Jednocześnie obmywaliśmy rivano-

lem ich odleżyny i likwidowaliśmy zgniliznę pod siennikami. Franz zdobył gdzieś farbę i już wspólnie z naszymi pacjentami pomalowaliśmy pięknie ich łóżka. W nagrodę dostawaliśmy od Staszka Oszackiego dodatkowe wiadro brukwianej zupy, którą dokarmialiśmy naszych podopiecznych.

W połowie kwietnia zameldowałem blokowemu wykonanie zleconego mi zadania i poprosiłem o przeniesienie mnie do lepszej pracy. Oszacki lubił mnie, i chociaż z drwiną przyjął moją informację o przepracowaniu się, to jednak przeniósł mnie do pracy w *Zahnstation*¹⁶, kierowanej przez doktora Janusza Krzywickiego (74593). W tym gabinecie dentystrycznym, mieszczącym się po prawej stronie na końcu korytarza na parterze bloku 21, poza doktorem Krzywickim pracował doktor Roman Szuszkiewicz (25122) i w sąsiednim pokoju Jerzy Budny (76897) – technik dentystryczny. Ja utrzymywałem w obydwu pomieszczeniach czystość, myłem i sterylizowałem narzędzia, a także rozrabiałem na szkiełku fleczer i porcelankę, potrzebne do łatania dziur w zębach. [...] Bardzo mi się podobała praca u dentystów. Było czysto i ciepło i nigdy nie byłem głodny.

Długi korytarz bloku 21 był przed wejściem do gabinetu dentystrycznego przedzielony drewnianą ścianką; w ten sposób powstała poczekalnia przed gabinetem, odizolowana od pozostałej części bloku. Miało to dobre strony, zwłaszcza wtedy, gdy do lekarzy dentystrów doprowadzane były więźniarki z *Gärtnerei Rajsko*¹⁷. Można było wtedy popoflować z dziewczynkami, a także dostać buziaka. Taka gratka trafiła mi się kiedyś, gdy w grupie kobiet rozpoznałem Jankę Matuszczak, dziewczynę, która wraz z siostrą Zofią przebywała razem ze mną w piwnicy gestapo w Tomaszowie. Były wtedy skatowane podobnie jak ja.

Janka była bardzo ładna i minuta spędzona z nią za parawanem u Budnego długo pozostawała w mojej pamięci. [...]

Dwa wydarzenia zadecydowały o opuszczeniu przeze mnie *Zahnstation*. Pod koniec maja uciekł z obozu Zbigniew Kaczorowski (125727). [...]

Polityczny oddział nakazał przeniesienie Mietka Ociepki do innego obozu, gdyż podejrzewano, że Mietek wiedział o przygotowywanej przez Zbyszka ucieczce. Mietek pochodził z Poznania. Równocześnie z nieudaną ucieczką Zbyszka miało miejsce inne wydarzenie.

Do obozu został przywieziony chłopiec w moim wieku. Nazywał się Koziarowski lub Kozierowski (Zdzisław?). Był kulawy na jedną nogę. Pochodził z Tarnowa i był synem przyjaciół doktora Szuszkiewicza. Doktor Szuszkiewicz postanowił zaopiekować się nim w obozie. Zwrócił się do mnie z propozycją, abym za cenę załatwienia mi innej dobrej pracy na bloku zwolnił miejsce dla przybysza w stacji dentystrycznej. Chciał go, jako inwalidę, mieć blisko siebie. Bez słowa sprzeciwu zgodziłem się. [...]

Sztuba 6 na 21 bloku była salą kooperacyjną – aseptyczną. Leczeni tutaj byli chorzy po zabiegach operacyjnych zarówno kostnych, jak i w zakresie chirurgii miękkiej. [...] Po wykonaniu czynności porządkowych rozdawałem chorym rano po pół litra ziółek, na obiad po misce zupy, a wieczorem znów ziółka, 35 dag czarnego, gliniastego chleba i 4 dag margaryny. Niekiedy także śmierdzący, rozkładający się topiony serek, tak zwany przez nas *Schmelzkäse*, albo łyżkę buraczanej marmolady.

Ale nasza sztuba miała szczególne przywileje. Leżeli przecież na niej chorzy bezpośrednio po operacjach, po narkozach. Każdy z nich, przynajmniej w pierwszym dniu po operacji, dostawał tak zwaną dietę. Zamiast czarnego chleba białą pszenną bułkę. A na obiad kaszkę mannę rozgotowaną w *Diätküche*¹⁸ w rozcieńczonym mleku. Dla chorych na nerki była

jeszcze tak zwana *Salzlosediät*, czyli zupa kartoflana, bezsolna. Po osoleniu smakowała znakomicie!

Lekarze świadomie przedłużali chorym dietetyczne racje żywnościowe, gdyż były one nie tylko smaczne, ale i bardziej odżywcze. Przy okazji i nam *Pflegerom*, i lekarzom dostawaty się te dobre kąski, gdyż koledzy kucharze, gotujący dietę na 28 bloku, zawsze dawali na blok więcej, niż się należało.

Z czasem też rozwinąłem i tutaj obozową »organizację«. Nawiązałem mianowicie kontakt ze starym oświęcimskim więźniem – Kazkiem Szelestem, który pracował w głównej kuchni. Kazek przynosił mi codziennie różne »surowce«, jak na przykład kartofle, warzywa, cebulę, kasze, makarony, a także często kawał jakiegoś mięsa. Ja dysponowałem elektryczną kuchenką (kocherem) potrzebną mi do sterylizowania strzykawek i igieł. Na kuchence tej gotowałem niekiedy całe wiadro doskonałej zupy, którą dokarmiłem chorych i siebie. Kazek wcale nie codziennie przychodził wieczorem i zjadał pół miski tej zupy, jakby chciał tylko sprawdzić, czy umiem gotować. To też był wspinały okres obozowej organizacji! [...]

W ciągu 15 miesięcy nie pracowałem ani jednego dnia w komandach, gdzie więźniowie masowo ginęli z wycieńczenia lub byli zabijani przez kapo i SS. [...]

[Obozowa „sielanka” Czesława Arkuszyńskiego skończyła się wraz z opuszczeniem obozu w Oświęcimiu. Przeżył straszliwy głód w filialnym obozie KL Buchenwald – Wansleben am See – i czterdziestogodzinny „marsz śmierci” z Wansleben do Hindorf, który przeżyło 900 z 2000 więźniów. I w tych sytuacjach ratowała go pomoc jego niezawodnego przyjaciela Romana Kujdy.]

¹ Muzułman – tym określeniem nazywano więźnia, który stracił wszelką odporność psychiczną i wiarę w możliwość przeżycia obozu. Wychudzony, bez sił fizycznych, nie był w stanie myśleć o czymkolwiek. Poddał się.

² Funkcyjny więzień, decydujący o przydziale pracy.

³ Magazyny zaopatrujące esesmanów w bieliznę, mundury, swetry, buty itp.

⁴ Kartoflarnia przy kuchni SS.

⁵ Komando rozwozące chleb i zajmujące się jego magazynowaniem.

⁶ Więźniowie pracujący w głównej kancelarii obozu na 24 bloku.

⁷ Szef wszystkich kapo, nadzorców komand roboczych.

⁸ Tłumacz obozowy.

⁹ Pomieszczenie z betonowym korytem do mycia się – blokowa umywalnia.

¹⁰ Młodszy sierżant (plutonowy?).

¹¹ Cisza nocna.

¹² Komando w Birkenau, zlokalizowane obok komór gazowych i krematorium, gdzie sortowano rzeczy zagrabione Żydom przed ich zagazowaniem. Sortowano, pakowano i wysyłano w głąb Rzeszy Niemieckiej.

¹³ Kto tu mówi po niemiecku?!

¹⁴ Więzień 131603 melduje posłusznie: mówię po niemiecku.

¹⁵ Sanitariuszy, pielęgniarzy.

¹⁶ Gabinet stomatologiczny.

¹⁷ Gospodarstwo ogrodnicze, gdzie pracowały więźniarki.

¹⁸ Kuchnia dietetyczna; mieściła się na 28 bloku.